№ 40.

Warszawa, dnia 1 Października 1864 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).—**W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.—**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki**, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

POCZĄTKI CHRZEŚCJAŃSTWA.

I. Religja i moralność Rzymu pogańskiego.

Rzym od chwili założenia, nigdy nie był ogniskiem religijném, z którego wytryskujące promienie, darzyłyby blaskiem podbite ziemie, zaborczym orężem potomków towarzyszy Romulusa. Przedewszystkiém zajmował się rozszerzeniem swéj potęgi na zewnątrz, szerzeniem dobrobytu obywateli i prawem ubogiem w głębokość filozoficzną, ale cechujące się walką między plebejuszami a patrycjuszami. Mimo tego, mytologja była niezmiernie bogatą w bóztwa: obok bogów i bogiń symbolizujących, dobroć, siłę, zwycięztwo, wolność, ziemię, ogień, niebo, pasterstwo, rolnictwo i t. d., każde miasto, dom, źródło a nawet wiele miejscowości, miały osobne bóstwa wyłącznie do siebie przywiązane.

Rozpatrując się w tém rozczłonkowaniu potęgi niewidzialnéj rządzącéj światem, spodziewaćby się należało, że pobożność, hamowanie namiętności, pogarda ziemskości, powinny przeważać wszystkie inne względy, ogarniać serca i dusze starożytnych Rzymian, wkraczających zawsze i wszędzie, myślą i czynem, w dziedziny podległe władzy bogów i bogiń przez siebie uwielbianych. Że kapłani jako pośrednicy między ludem a bogami, życiem doczesnem a wiecznością, byli zapewne otoczeni czcią i uwielbieniem, i używali znaczenia odpowiedniego ich stanowisku. Tymczasem było wszystko inaczéj. Religja nie opierając się na zasadach i podaniach świętych, nie obejmując obowiązków ścisłéj moralności, dla bogów swych mściwych i okrutnych, obudzała bojaźń a nigdy uczucie rzeczywistéj pobożności.

To też u Rzymian właściwéj wiary nie było żadnéj; znakomitsi byli półmędrkami, a całemi niedowiarkami, bogów nieśmiertelnych wzywali jako przysłowionych wykrzykników, a publicznie do-

wodzili o nicości człowieka, ze śmiercią kończącego wszystko.

Lud bał się bogów, jak złych a potężnych panów, z pod których władzy radby się wydobyć, a czuje że temu nie podoła. Że zaś wiara w jedynego Boga razem z życiem wlaną jest w człowieka i choć pokryta utworami wyobraźni ludzkiéj, dodatkami powstałemi z chwilowych okoliczności, kołacze ciągle duchem ludzkim, podnosząc go ku wyższym celom stworzenia, więc i Rzymianie nie znajdując w religji swéj boskiego namaszczenia, ani zadowolenia dla wewnętrznéj tęschnicy, rzucili się wszyscy, możni i ubodzy, filozofowie i nieucy, do praktyk najnierozsądniejszych, do dziś dnia jeszcze przez umysły płytkie i nieoświecone zachowywanych. Temi praktykami było wieszczbiarstwo, wyrocznie i przesądy, wiara w uroki, w czarodziejstwo, i w dobre dnie a nawet godziny. Każde wydarzenie odmienne od zwyczajnego porządku rzeczy, potknięcie się, przewrócenie soli, głos pewnych ptaków lub zwierząt, spotkanie węża, a nawet wymówienie mimowolne jakich złowrogich wyrazów, przestraszało ich jako zapowiedź nieochybnego nieszczęścia. Słowem zabobony pełne wróżb najokropniejszych, zapełniały całe życie Rzymian, a było ich tak wiele, że duża księga zaledwie wystarczyłaby na ich spisanie.

Nie mając zatem wiary, w Rzymie nie było ani przywiązania szczególnego do religji, ani fanatyzmu, ani wypływającego z niego prześladowania obcych wyznań. Sześćset innych religji swobodnie rozwijały się obok rzymskiéj, kapłani zaś nie będąc stróżami podań i zasad świętych, nigdy nie stanowili kasty silnéj i przeważającéj, i przyjmowanie nowych bogów i zatwierdzanie nowych obrządków należało nie do nich, ale do senatu. Za to Westalki, dziewice przełożone nad strażą świętego ognia Westy i tajemnic mającéj stanowić bezpieczeństwo Rzymu wielkiéj doznawały czci i poszanowania. Gdy raz zgasł strzeżony przez nie ogień, przerażenie nie do opisania ogarnęło wszystkich, bo każdy był pewny jakiegoś nadzwyczajnego powszechnego nieszczęścia. Gdy wychodziły na miasto, liktor zawsze poprzedzał te kapłanki, jako stróż i usuwacz wszelkiéj choćby najmniejszéj w obecności ich nieprzyzwoitości. Jeżeli spotkały konsulów i pretorów, ci schodzili im z drogi a pęki rózg z toporem, godła niesione przed niemi, nachylały się ku ziemi, na znak, że gdzie one są tam milknie samo prawo i władza. Zeznanie ich w sądzie równało się przysiędze, wszędzie miejsce piérwsze a nawet na widowiskach im oddawano: skazany na śmierć, jeżeli spotkał Westalki otrzymywał przebaczenie, i im tylko jednym wolno było jeździć w rydwanie po mieście. Oddane tajemniczym obrzędom i obowiązkom kapłanek, władzę swą czerpiąc w dziewiczéj czystości musiały być pilnemi stróżami samych siebie, bo za najmniejszém podejrzeniem, winowajczynię zakopywano żywcem w ziemi, a spólnika błędu karano śmiercią.

Ta cześć niezwykła dla kapłanek tajemniczéj Westy, była naturalnym wypływem ogólnego usposobienia, w żadnym bowiem kraju wieszczbiarstwo nie rozwinęło się tak przeważnie jak w Italji. W każdéj sprawie czy prywatnéj czy publicznéj, w każdém przedsiewzięciu małém lub wielkiém, przedewszystkiém starano się o zbadanie woli bogów, i jak u nas niegdyś, każdą ważniejszą czynność poprzedzano odprawieniem Ofiary Ś-téj, tak w starożytnéj Italji spieszono do wyroczni i kapłanów, wszędzie rozrzuconych po kraju.

Przy religji tak pojmowanéj, odpowiednia była i moralność całéj ludności. Na tronie zasiadali zwykle kaci ze krwi ludzkiéj i zwierzęcych huci ulepieni, szaleńcy, niedołęgi, bezwstydni, szafarze trucizny, tortur, podpalacze, zabijacze, mordercy, dla których obcém było, wszelkie uczucie ludzkie, choćby najmniejsze, a nawet tak naturalne jak przywiązanie syna, ojca, kochanka i męża. Otoczeni szpiegami, siepaczami, nikczemnemi wyzwoleńcami i bezwstydem niewieścim, za jedném skinieniem, wytaczali strumienie krwi ludzkiéj, trupa słali przy trupie, często z okrucieństwem nieznaném najdzikszym zwierzętom i z potarganiem wszelkich względów, stanowiących godność natury ludzkiéj. Lud, senat, rycerze zamiast oburzać się na podobne czyny swych panów, przyklaskiwał z całego serca i po każdem nowem barbaszyństwie, przy każdéj nowéj podłości, nurzającéj go w kale bezeceństwa, uchwalał nowe dziękczynienia i nową ze wszech stron otaczał go uniżonością.

W takiéj społeczności, samolubstwo górowało nad wszystkiém, każdy zamykał się sam w sobie nie dowierzając nikomu, bo każdy miał inny sposób myślenia, inne pragnienia, a nawet inną politykę, moralność i religję. Wywnętrzać się zaś było niebezpiecznie, bo siepacze cezarów czuwali, a miecz ich zarówno winnych jak niewinnych dosięgał. Znikczemniały senat usuwał od ludu opiekuńczą swą rękę; trybuni pastwili się nad patrycjuszami, lud otrętwiały radował się, gdy krwawe walki gladjatorów zastępowano zdjęciem głów szlachetniejszych.

Filozofja zmieniona prawie jedynie w umiejętność odebrania sobie życia bez żalu i obawy, wyrodziła potworne samobójstwo, które się stało pra-

wie modą. Śmierć przyjmowano z obrzydliwą obojętnością i zabijano się przy miljonach, z obawy nędzy, z nudów, z przesycenia. Nie wierząc w bogów których wyznawano, ale w nieugiętość surowéj fatalności, ulegano jednak niespokojnéj żądzy badania przyszłych losów człowieka, w jego ziemskiém i za grobowém życiu ślepo wierząc wróżbistom i astrologom utrzymywanym z niewolników przez każdego niemal bogacza. Młode dziewczęta szukające miłości, młodzież niecierpliwiąca się długiém wyczekiwaniem sukcesji, mężatki bezdzietne, niedołężni starcy, zdradzeni kochankowie, pragnący dostojeństw i wyniesienia, łakomi bogactw, sławy, rozgłosu, całemi tłumami biegli do wyroczni, ślepo wierząc w najbezbożniejsze ceremonje, przy których nawet nie oszczędzano życia niewinnych dziatek.

Poczucie jednak wyższego przeznaczenia człowieka, jakiegoś nowego innego życia w którém każdy znaleść się musi, oczyszczony z brudów życia ziemskiego, jakaś potrzeba przebłagania, zaskarbienia sobie łaski i przebaczenia, acz niewyraźnemi głoskami, nie wysłowionemi, nie pojmowanemi dobrze, wyryte jednak było w sercu ówczesnych Rzymian. Był to głos sumienia, głos Boga jedynego, przeciskający się przez żelazne zapory, granitowe skały, obłąkania się myśli ludzkiéj: był to oddźwięk daru Bożego, z którym wszyscy przychodziémy na świat, który dany nam w dowodzie największego miłosierdzia, aby pysze ludzkiéj wskazywać właściwą drogę ile razy wprowadzić pragnie śmiertelnika na szatańskie ścieżki. Poczucie to pomimo ogólnéj bezbożności, wiodło jednak Rzymian do pokuty i oczyszczania się z grzechów. Jedni więc obmywali się krwią w czasie obrzędów tajemniczéj Mitry, przedstawiającéj nieznajomego a najpotężniejszego Boga: inni wykąpawszy się w nurtach Tybru bez względu na zimową porę, czołgali się na kolanach po Marsowém polu. Czasami lud cały zażądał błagalnéj ofiary, albo złożenie symbolicznych darów kapłanom, stawiając ich przez to na stanowisku pośredników między sobą a niewidzialnym światem, czego im nigdy nie przyznawał. Cóż więc mogło pędzić Rzymian do podobnéj skruchy i uznania w pokorze swych błędów i przewinień?

Nie religja bo téj nie miano: nie kapłani bo ich nie otaczała żadna świętość: nie filozofowie i ich nauki, bo ci byli bezecnemi niedowiarkami: nie zasady moralności bo ta była potworną i samolubną. Nic więc innego, tylko głos sumienia, głos Boga, który razem z duszą ożywia zlepek gliny zowiący się człowiekiem.

Chwile jednak te skruchy, jak błyskawice przebiegały po nad ciemnicami świata rzymskiego, i gdy minęły, rzucano się z nową wściekłością w zwykły tryb życia, depcząc wszystko z pogardą, bez żalu, trwogi lub boleści, litość, miłość bliźniego uważając za występek godny wzgardy, upór za najwyższą cnotę, a samobójstwo za ostatnią ucieczkę przed ciosami dotkliwego losu.

Wzgląd przyzwoitości, nie pozwala nam odsłaniać tajemnic życia domowego rodzin, zarówno tron otaczających jak bogatych patrycjuszów. Tam bowiem dla żądzy posiadania upragnionéj rozkoszy, dla złota, nienawiści, zemsty, zazdrości, gniewu, i innych podobnych namiętności, nie znano żadnego hamulca i sztylet lub trucizna, męki i tortury, szły na usługi ojcom, matkom, żonom, mężom, synom i córkom, przeciw tym, których sama natura najbliżéj umieściła serca ludzkiego. O wstydzie niewieścim nie było nawet mowy, a nawet niemal od dziecka starano się wszelkiemi sposobami, sprosnemi zabawami, widowiskami, złém towarzystwem, ścierać z duszy niewinnéj, ten delikatny pyłek, nieporównanym wdziękiem zdobiący twarz dziewiczą. Dlatego bezżeństwo i rozwody zarówno między bogatemi jak ubogiemi, niezmiernie były rozszerzane, i jeżeli często związki małżeńskie zawierano bez żadnéj moralnéj pobudki, częściéj jeszcze rozłączano się dla chwilowego grymasu lub bez żadnego powodu, dla saméj zmiany, robiącéj już pewne roztargnienie, w ckliwém życiu rozkosznisiów.

Zbytek zawsze zły i gorszący, w państwie Rzymskiém przy strasznéj nędzy wielkiéj liczby ludu, był tym bardziéj uderzający, że przechodził prawie w niepomiarkowane szaleństwo, jakby w obłęd zrywający wszelkie tamy rozumu. Krocie płacono za jedną rybę, tysiące za ptaszka, wypijano perły rozpuszczane w winie, biesiadnikom rozdawano szczerozłote półmiski, budowano statki z cytrynowego drzewa, wysadzane perłami i słoniową kością, a Neron na pogrzeb małpy, strwonił skarby bogatego lichwiarza wyciskane z ludzi przez całe długie jego życie i skazanego za to na wygnanie i konfiskatę. Na zbytki te składał się cały świat podbijany orężem rzymskim, a choć znaczna ich część marniała bez żadnéj dla państwa korzyści, z resztek jednak budowano wspaniałe drogi, potężne floty, utrzymywano liczne legje, rozszerzano handel, nadając tém pozór ogólnéj pomyślności całemu państwu i olśniewając nią ościenne i dalekie ludy. Ale pomyślności téj był tylko pozór, była to ładna sukienka, okrywająca trupa co miał w krótce na proch być starty, wszędzie zaś górowało rozprzężenie umysłów, brak wszelkich zasad, zepsucie, bezbożność, występek,

okrucieństwo w panach i niewolnikach, wzajemna nienawiść, podłość w filozofach, zwierzęcość w żołdaku, tchórzostwo, wreszcie głupota i zupełna na wszystko obojętność w ludzie gnębionym i uciemiężanym. Każdy szukał wywyższenia nie wybierając w środkach, i każdy lękał się drugiego, niedowierzał, najzupełniéj przekonany, że przy piérwszéj sposobności gotów go poświęcić i choćby po trupie najukochańszego ojca, syna lub przyjaciela, pochwycić to, do czego wyciągał pożądliwe ręce. Były to proste następstwa do ostateczności posuniętego samolubstwa, brak zupełnego pojęcia praw i obowiązków człowieka, téj solidarności nadającéj społeczeństwom siłę, znaczenie i poważanie.

Każdy Rzymianin był jakby małym światem krążącym około własnego interesu jako jedynéj rzeczy, godnéj ofiary i poświęcenia. Co było po za tém samolubném kołem, obchodziło go mało, znał tylko bezpośredni stosunek, dalszego zaś niepojmował i nad niém nawet się nie zastanawiał.

Jak zaś zepsucie do samego gruntu z gangrenowało rzymską społeczność i wiodło do zatracenia, najlepiéj to maluje brak wszelkiéj nadziei wyjścia z tego monstrualnego położenia, nawet chęci badania przyczyny złego i wyszukiwania środków na jego pokonanie. Czasem w prawdzie jaki moralista powstawał na zepsucie społeczne, i odrzucając na bok wszelkie względy, z odwagą prawdziwie zdumiewającą, wykazywał nędzę moralną całéj ludności, zakamieniałość możnych, niedolę ubogich, poniżenie wszystkich, ale nie podawał na to najmniejszego nawet środka. We wszystkich tych dziełach nie ma ani jednéj myśli, podającéj sposób ulepszenia moralności i ogólnéj oświaty, niektórzy rozwodzili tylko żale nad upadkiem dawnych czasów i zużytéj arystokracji, a Stoicy podawali jedno na wszystko lekarstwo: „odbierz sobie życie."

Szafowano téż niém aż do obrzydliwości, rozpacz, zwątpienie ogarniało wszystkich, za niemi szły rozpusta i bezeceństwo, żyjąc w ciemnicy moralnéj potrącano się wzajemnie, gnębiono, uciskano, obdzierano i deptano najszlachetniejsze porywy serca, czasami dające jeszcze słabe znaki życia. Widziano złe, powstawano na ludzi i władze, nienawidzono gnębicieli, ale społeczności brakowało spójni, owéj wyższéj miłości łączącéj wszystkich w jednym celu, i w cudowném zespoleniu, cudom dającéj życie. Każdy nie pojmując możności zmiany, z rozpaczą poddawał się okrutnemu losowi, i zamiast wejść w siebie, zastanowić się nad przyczyną doznawanéj boleści, składał to wszystko na fatalność i nieszczęsne całéj ludzkości przeznaczenie.

W téj rozpaczy i zwątpieniu o wszystkiém, w tém sponiewieraniu religji, sprawiedliwości, cnoty, miłości rodziny, miłosierdzia, słowem wszystkiego, co zacne i szlachetne, co człowieka podnosi na godność istoty myślącéj, cóż mogło ludzkość wstrzymać od zupełnego zbydlęcenia się, i uwolnić od tortur doczesnego życia? Nie władcy tyrani i monstra bezecne: nie znikczemniały senat, nie zgangrenowani patrycjusze ani rozpustni bogacze, nie powątpiewający o wszystkiém uczeni, nie religja wreszcie bez świętości, ani automatyczny gmin umiejący tylko lękać się, nienawidzieć i złorzeczyć. Nie ludzie więc, bo zepsucie zabiło wszystko, zniszczyło wszystkie pierwiastki, przy pomocy których człowiek dźwiga się nawet z brudnéj kałuży, i otacza się aureolą godności i człowieczeństwa. Jeden tylko powrót do Boga obłąkanéj ludzkości, mógł ten cud zdziałać, tylko wprowadzenie Go do serca z pokorą, poddaniem się, bez pychy i obłudy, mogło myśli ludzkiéj otworzyć rajskie wrota do szczęśliwości doczesnéj i wiecznéj.

I Bóg ulitował się, przyszło słowo Boże głoszone nie z mieczem archanioła, ale namaszczone prawdą, któréj nie zmogą mocy piekielne, która jest opoką na jakiéj postawiony gmach, oprze się bez skazy, wichrom, burzom, choćby bijącym weń wściekłą siłą szatana.

Gdy więc Syn Boży świadectwo dawał prawdzie, zgłodniałe jéj i pragnące rzesze, cisnęły się tłumnie, chwytając z chciwością naukę, co rozpraszając ciemności, zwątpienia i rozpaczy, ze światłem wiary wprowadzały zbolałych wędrowników ziemi do przybytku nadziei i uspokojenia, aby się uczyli, nie oddawać złem za złe, ale kochać wszystkich, i być prawdziwemi synami ojca w niebiesiech, który czyni, że słońce jego wschodzi na złych i dobrych zarówno. Żeby poznali, że Bóg jest jeden a ludzie wszyscy równi sobie jako jego dzieci.

(d. n.)

---

* * *

Niedawno otrzymałem list zarówno Was jak i mnie obchodzący osnowy następującéj.

Panie Redaktorze!

Czytając co tydzień Tygodnik Mód, zawsze z przyjemnością biorę go do ręki, pociągają mnie do niego zajmujące artykuły, jakie w nim zamieszczacie które nie tylko są rozrywką przyjemną, ale i wie-

le nauczyć się z nich można. Wiadomość o modach lubię czytywać i podobało mi się to bardzo że ile razy jest jaka śmieszna, która tak do klimatu jak i położenia naszego zastosowaćby' się nie powinna, sam Redaktorze starasz się do niéj zniechęcić swe prenumeratorki, za co ci się serdeczna wdzięczność należy.

Pojmujesz zatém moje oburzenie, gdy teraz po kilka kroć w twém piśmie wyczytuję doniesienie bez przygany o modzie wielkich kolczyków. Gdy przeciwnie, należałoby się podziękowanie niektórym kobietom że się pozbyły tych dzikich upodobań i zarzuciły modę wstyd przynoszącą w XIX wieku, a może tym sposobem, udałoby się odwieść i resztę od téj fatalnéj mody i ocaliło uszy młode pokolenie od kłócia, które i tak za nadejściem większéj oświaty będzie się rumienić tego umyślnego kalectwa na jakie narażali je właśni rodzice lub opiekunowie. Może powiész, moda to doskonała, przyozdabia, co mi tam że jakiejś mojéj prenumeratorce do gustu nie przypada i ot tak po prostu dziwaczy sobie. Otóż odpowiem wam Redaktorze, że nie dziwaczę, bo jestem na to za młoda a lubię ubierać się do twarzy i wiem że te dzwonki w uszach zdobią, ale wiem i to, że można ładnie wyglądać nie mając kolczyków w uszach. Proszę Was zatém, jeżeli nie chcecie powiedziéć cóś przeciw kolczykom, to nie zalecajcie używania ich bo ostatniemi numerami wprowadziliście mnie w gorączkę powtarzaniem że coraz większe, większe i większe są modne, każesz wyjmować je na wierzch kapelusza, a zatém obawiam się czy za parę tygodni nie przyjdą do takich rozmiarów, że je pod brodą trzeba będzie szczepiać z sobą łańcuszkami. Prosi Was przeto prenumeratorka zaprzestać, zachęcania do téj szkaradnéj mody i t. d.

Czasowa mieszkanka Piotrkowa.

Piérwszy ustęp tego listu dotyczący pochwały części literackiéj Tygodnika, nos méj redaktorskiéj mości w uniesieniu pychy podniósł do wysokości wieży straży ogniowéj, dającéj widok wszystkiego w minjaturze i tém samém przemieniającéj innych redaktorów w redaktorków, ludzi w człowieczków, a Warszawę w małą mieścinę. Druga część chwaląca zniechęcenie do śmiesznego lub niewłaściwego stroju, okryła rumieńcem dziewiczego wstydu pucołowate z zawiesistym wąsem moje oblicze, bo sami przyznacie, że Janek z Bielca, bywalec chałupny i karczemny, zadawalniający się byle jakim hałatem, nie bratający się nigdy z lustrem, pomadą, kosmetykami, dla braku czupryny nie mogący nawet czuba zakręcić wedle prawidła przyjętego przez dandysów, nie mógł nigdy przypuścić, że kiedyś będzie chwalony za propagandę takiéj lub owakiéj mody, będącéj dla niego prawdziwym hieroglifem egipskim. Wierny zatém prawdzie, zasługę z tego przyznaję nie sobie, ale Towarzyszkom wspólnéj ze mną pracy, w podziale któréj, im część specjalna Tygodnika, ubiór, roboty, kroje i kuchnia, a mnie literacka przypadła.

Że wiadomość o powiększaniu się kolczyków ograniczoną została na dwóch prostych kilkuwierszowych doniesieniach, bez pochwały i zalecania, odpowiedziano w Korrespondencji w pozaprzeszłym numerze; co zaś do mnie Janka z Bielca, że kolczyki zakrawają na dziczyznę, że są śmieszne, dziwne, a nawet szkaradne i barbarzyńskie, na to najzupełniéj się zgadzam, dziwiąc się nawet, że w tym samym celu przebijanie chrząstki nosowéj jeszcze w Europie nie weszło w użycie.

W odgadnięciu więc myśli moich, korrespondentka najzupełniéj się omyliła przypuszczając że modę kolczykową uważam za doskonałą, a Ją za *dziwaczącą* i za *jakąś tam prenumeratorkę*. Dziwactwo bowiem rzadko z młodością idzie w parze, tymbardziéj promieniejącą wdziękiem udatnych myśli i łatwością wysłowienia piórem. Co zaś do nazwy *jakiejś prenumeratorki*, przeciw temu protestuję całą wrzaskliwością mego gardła. Czyż bowiem Czytelniczek moich nie nazywam zawsze w stylu zwyczajnym *zacnemi i łaskawemi*, w pochlebnym *pięknemi*, a gdy idzie o zachęcenie do prenumeraty *szanownemi?* Zgadawszy się o modach muszę wam przytoczyć wyjątek z korrespondencji wód zagranicznych, przedstawiającéj jéj potworne wybryki.

Pretensja powiada korrespondent chce błyszczenia, nieugaszone pragnienie zaćmiewania drugich, są to wady wyznać trzeba wyłącznie niewieście. Każda tu przybywa z kuframi dorównywającemi wielkością domom paryzkim. Ta przywozi dwadzieścia, ta trzydzieści lub czterdzieści sukien, a wszystkie muszą przedefilować jak na paradzie; suknia poranna, dzienna, wieczorna. Rywalka jest zwyciężoną skoro w tym *gałgańskim* boju wystrzelała pierwéj wszystkie ładunki i już nie posiada w kufrze amonicji. Wtedy nie ma co robić. Żeby się nie poddać, trzeba wyjeżdżać co prędzéj. Odjeżdża więc do innych wód gdzie może od początku rozpocząć wystawę garderoby.

Takie bitwy na wstążki i koronki mają najsmutniejsze następstwa: parę dni układana wycieczka chybia, *ta* już *z tamtą* spotkać się nie chce, a jeżeli spotka, to mniéj błyszcząca na zaćmiewającą gwiazdę, patrzy krzywo, idą potém kwaśno-słodkie uśmiechy, wejrzenia zabójcze, poźniéj przycinki, obmowa, potwarz, wreszcie kłótnia często inter-

wencja mężów, a w końcu przyjaźń zamienia się w nieprzejednaną wściekłą nienawiść.

Temu lat dziesięć po za murami miasta, noszono tylko słomiane kapelusze, tak zwane pasterskie, osłaniające twarz od słońca, chłodne i lekkie. Dziś ani zobaczyć tak wygodnego kapelusza, w ręku paryzkiéj modniarki gięty i wyłamywany nieustannie, przybierał koleją kształt kapeluszy trzech ostatnich Ludwików: rondo coraz węzejąc, znikło nareszcie a kapelusz zmienił się w tak zwane trafnie *toquet*, rodzaj rondelka z orlem piórem, a nareszcie w czapkę z rydelkiem, którą obecnie szpecą się najpiękniejsze damy. Reszta ubioru jak zwyle poszła za kapeluszem, i nastała maskarada tak niesłychana, że wody zdają się być schadzką, samych teatralnych księżniczek. Widziano w Dieppe parę kobiét w ogromnych perukach ze sztyletami wiszącemi u pasa, czemu wierzcie najzupełniéj, bo mogę stawić dwa tysiące świadków, którzy oglądali to zjawisko.

Żądza błyszczenia robi te wszystkie cudactwa i nadzwyczajności, jak np. suknia biała festonowo rozpięta na szkarłatnéj spódnicy, stanik pąsowy nabijany stalowemi ćwiekami, pęki piór białych spadające na plecy, kwasty u węgierskich butów, widziane zdaleka, rękawiczki rycerskie, a w ręku kij potężny.... Tak ubrane i stąpające z partesu kobiéty, wyglądają jak aktorki, które ze sceny uciekły nie zmieniwszy kostiumu, a całe kąpielne kasino jak bal maskowy.

Diamenty także nie obawiają się ani gór ani morza. Noszą ich tyle i tak powszechnie po lasach i karczmach, że śmiało przepowiedzieć można bliski upadek téj kosztownéj błyskotki. Dziś diament zstąpił do wszelkich warstw społecznych, rzadki, był cackiem bogaczy, spowszedniały, przystępny każdéj dobrze opatrzonéj sakiewce, musi zejść z tronu i zmięszać z motłochem innych kamieni zdobiących gawiedź.

Na paryzkiéj ulicy Pokoju jubilerzy z nowego-świata, założyli sklep klejnotów tak bogaty, że przy nim znikają królewskie wystawy. Perły można tam jak groch szuflować, a diamenty obrzydza zbyteczna ich ilość. Wystawę w oknach liczą najmniéj na kilkaset miljonów. Ta wielka mnogość brylantów z Indji pochodzi. Podczas wojny z Anglją, diament podzielał niechęć krajowców i pozostawał nietknięty u czapki Rajaha. Teraz odczepiony, popłynął drogą wymiany za angielskie towary. Śmierć Abdul-Medżida, wywóz brylantów ze wschodu powiększyła. Harem sułtana zawsze ich najwięcéj kupował. Nowy sułtan rozpędził hurysy, a brylanty z ich ramion stoczyły się do stambulskiego bazaru. Kupcy zatém tureccy zmuszeni są szukać w Europie odbytu którego już u Padyszacha nie znajdują. Portugalja także dosypuje brylanty do ogólnego skarbcu. Z piwnic lizbońskiego banku, wydobyto ogromny zbiór diamentów, i mają go puścić w świat aby zyskać za niego 45,000,000. Kopalnie także diamentów niezmiernie się rozszerzają, wszystko więc spiknęło się na upadek brylantów. Kamień ten przeminie jak wszystkie skarby świata tego, wtedy kobiéty zaczną się może ubierać w kwiaty, w jakich piękne pewno mniéj pięknemi nie będą.

Na tém zamykam gawędę z Wami. Chciałem pomówić jeszcze o grzmotach i błyskawicach, o lisie zdziczałym kryjącym się w Saskim ogrodzie, i o innych równie ważnych rzeczach ale już miejsca nie stało. O kalendarzu dla ludu na rok 1865, tanim i nader starannie wydanym powiem Wam później.

Historja literatury powszechnéj *).

Po rocznéj blisko przerwie otrzymujemy znowu dalszy ciąg Historji literatury powszechnéj napisanéj przez Henryka Lewestama. W poprzednich wzmiankach daliśmy poznać tom piérwszy tego dzieła, zawierajacy literatury wschodnie i starożytne, nie możemy jednak utaić, iż przedmiot staje się bardziéj interesującym, mianowicie w tomie drugim którego początek mamy przed sobą. W kraczamy tu bowiem w obręb średniowiecznéj literatury francuzkiéj a mianowicie w okres trubadurów Francji południowéj, i korzących się późniéj na ich wzór truwerów Francji północnéj. Przeszłość ta, tak odległa iż początkiem swoim sięga niemal rzymskich galii żywo się jednak budzi pod piórem historyka, bo duszą jéj była wieczno trwała miłość i ofiara. One to i dziś jeszcze chronią od zwiędnięcia zielone wieńce, któremi drobne rączki niewiast zdobiły szyszaki rycerzy w stal okutych i skronie poetów, skromnych śpiewaków męztwa i miłości. Muza na cześć rycerskich czynów i na cześć kobiéty odezwała się w dźwięcznym prowansalskim języku i urobiła w doskonałą formę pieśni, płynącéj szeroko już nietylko po starych zamkach Arles (Prowancyi) ale i po zagranicami tego pięknego kraju. Były to złote dla pieśniarzy czasy i podobno nigdy im się ten różany wiek nie wróci. Szczęśliwemi mistrzami pieśni byli truba-

*) Zeszyt siódmy, tom 2-gi Warszawa, nakład A. Lewińskiego 1864 r.

dorowie, a na ich usługach zostawali minstrele towarzyszący ich poezji śpiewem lub na dźwięcznym instrumencie. Kładziono na równi z wawrzynami rycerzy ich tryumfy na turniejach i w pięknych zabawach trybunałów miłości, gdzie rozwiązywano rozmaite trudne i zawiłe kwestje w przedmiotach erotycznych. Pomiędzy niemi znajdowały się takie: „Czy pomiędzy małżonkami może istnieć prawdziwa miłość?" „Pewna dama na jednego z swych wielbicieli patrzy z wyrazem miłości, drugiego ściska za rękę, trzeciego trąca nóżką pod stołem, któremu z tych trzech największą okazała skłonność?" „Co najbardziéj podnieca miłość: czy serce, czy oczy? Nad temi pytaniami dysputowano bardzo poważnie w gronie dam, rycerzy i trubadurów, a wydawano wyroki na mocy kodeksów miłości w którem znajdhwały się takie maksymy: „Miłość kobiéty dla dwóch mężczyzn, albo miłość mężczyzny dla dwóch kobiét nie jest wzbroniona."

„Miłość miłości niczego nie odmawia." „Prawdziwie kochający widzi ciągle obraz kochanki" i tym podobne, mniéj lub więcéj prawdziwe maksymy. Takie rozprawy na dworach książąt i magnatów odbywane, nie mogły niepodniecać silnie kierunku pieśni na cześć miłości. To też każdy trubadur musiał miéć swoją damę którą wielbił w strofach swéj pieśni, jak każda dama musiała miéć swego trubadura. Związek ten poniekąd był platonicznym, idealnym, niekiedy jednak zdarzały się stosunki namiętne i czułe, a czasami krwawe. Opowiadają że Rajmund de Castel Roussillon. przekonawszy się o tajemnych stosunkach Małgorzaty swéj żony z młodym poetą Guillem de Cabestaing (1173 r.) wywiódł go za mury zamku, przebił sztyletem, uciął głowę, wyjął serce i oddał kucharzowi z poleceniem przygotowania na stół żonie, która po zjedzeniu znalazła tę potrawę nader wyśmienitą.

— Tak sądzę, rzekł wtedy zabójca, słuszna jest rzecz abyś lubiła po śmierci, coś tak ukochała za życia. Po tych wyrazach pokazał jéj zbroczoną krwią głowę trubadura i wyjawił rodzaj spożytego pokarmu.

— Tak jest okrutniku! zawołała Małgorzata, znalazłam ją tak wyborną iż odtąd nietknę innéj! I to powiedziawszy skoczyła z balkonu zamkowego. Na wieść o téj zbrodni rodzina Cabestainga, rycerze i panowie Roussillona połączyli się przeciw Rajmundowi, ogniem i mieczem spustoszyli jego posiadłości, a Alfons II-gi król Arragonii i władca Roussillona przybywszy na miejsce uwięził Rajmunda, a zamek jego zrównał z ziemią.

Ten to okres pieśni prowansalskiéj, tak bogatéj w liczne jéj gatunki, w sto lat późniéj przeszczepiony został, przez truwerów francuzkich przebrzmiewając w pieśń coraz bardziéj wojenną lub hulaszczą, aż nareszcie skonał w niezgrabnych konceptach błaznów, jacy coraz więcéj zastępowali wolnych natchnionych poetów na dworach możnych panów średniowiecznych. I jakkolwiek w następującéj nocy barbarzyństwa skonał głos trubadórów, truwerów i towarzyszących im minstrelów, spuścizna po nich pozostała, godna jest poznania, a pod względem formy nie jednym ich natchnionym wynalazkiem posługujemy się do dziś dnia. Nie będziemy daléj szli za autorem Historyi literatury o któréj mówiémy, sądziémy bowiem iż wzmianka nasza zachęci do przejrzenia téj pracy, wykonanéj jak widziémy zajmująco, bogatéj w charakterystyczne rysy nietylko literackie ale i społeczne, które rozkwit lub upadek literatury tłumaczą albo wyjaśniają. Nareszcie wybornie dokonane przekłady licznych wyjątków i przekładów przyłączanych w tekscie, stanowią jeden z ważniejszych przymiotów téj książki, któréj brak ogólnie się dawał uczuwać.

Nowości Zagraniczne.

Le conseiller des dames, et des demoiselles. Suknie wełniane z moheru albo linonu powszechnie naszywają trzema skosami jedwabnemi na dwa palce szerokiemi téj saméj barwy jak suknia po nad obrębem w pewnych odstępach. Uważaliśmy jeszcze jeden bardzo ładny garnirunek złożony z plisy jedwabnéj, która dochodzi do samego dołu spódnicy i wycięte ma proporcjonalne kwadraty; w kwadratach tych umieszczone są trzy wielkie kontrafałdy z materjału sukni. Baskina u stanika i rękawy mają odpowiedni garnirunek tylko w mniéjszym formacie. Dla dziewczynek coraz więcéj upowszechniają się sukienki krajane w kliny formą *Gabrjeli.* U dołu niektóre wycięte są w zęby objęte czarną pliską albo taśmą, powyżéj naszyte w tym samym kształcie sutaszem. Stanik wycięty kwadratowo niekiedy bywa wyszyty także sutaszem jak cały przód spódnicy. Kaszkieciki *Wiktorja* z włoskiéj słomy objęte czarnym aksamitem z piórem białem na boku, zwykle uzupełniają ubrania dziecinne. Chłopczyków najwięcéj ubierają w krótkie kaftaniki sukienne albo pikowe i w takież same majtki. Jeżeli garnitur jest sukienny to i kaszkiecik bywa z tego samego materjału.

Kolor popielaty powszechnie przyjęty do podróży i do każdéj wycieczki za miasto. Suknia

popielata, spódnica, okrycie, kapelusz, trzewiki i pończochy, worek nawet podróżny wszystko to jednéj i tego saméj powinno być barwy. Rozmaite odcienia popielatego koloru stanowią różnicę, jedni wolą ciemniejszy, w brązowy wpadający, drudzy lapis, inni znowu stalowy, piaskowy, a wszystkie jednak odcienia zawsze popielaty kolor przypominają.

Suknie do częstego ubrania robią z materjałów: *linos, poil de chèvre,* alpagi i fularu który się nie gniecie, bardzo jest lekki i ładnie wygląda, mając kolor skromny i strojny zarazem.

Jako okrycia cieplejsze zwykle burnusy używane bywają z powodu swego wygodnego fasonu, niekiedy do tych burnusów dodają obszerne klapy które miejsce rękawów zastępują, lub też odrzucone w tył bywają. Robią je z miękkiéj flaneli albo korciku, szerokie i długie, niektóre są z kapturami w razie potrzeby do nakrycia głowy służyć mogące. Kaptury te są albo z takiéj saméj materji albo też innego koloru dobrze odbijającego od koloru burnusa, np. pąsowy fioletowy. wtedy, i burnus w koło oblamowany tak samo być musi. Wieczorem burnus taki nieocenionem bywa ubraniem tak dla swego ciepła jak i wygody.

Spódniczki pod suknie bardzo bogato i wykwintnie garnirują i wyszywają w rozmaite desenie, zastosowując to aplikacją innego koloru, to jakieś kwadraty, koła, liście sukienne, aksamitne lub kaszmirowe, a zawsze falbanka rurkowana zakończać je musi. Pod lekką białą muszlinową suknię spódniczka biała muszlinowa jest niezbędna; wszywki zakładki i falbanka stanowią jéj ozdobę.

Pod inne suknie elegantki używają spódnice tego samego koloru co suknia. Tylko ozdobnie przybranéj, gdy przeciwnie suknia wtedy żadnego garnirunku nie posiada, prócz klapek z tego samego materjału, przybranych falbanką i guzikami albo też klamry szmuklerskie, które suknią w festony już raz na zawsze spinają.

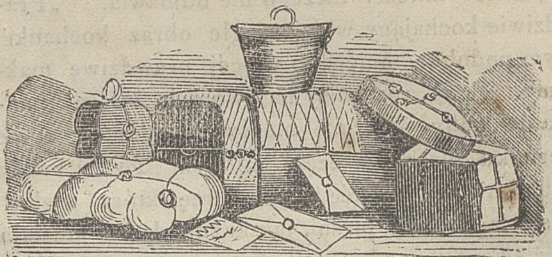
Młode panny noszą bardzo za okrycie krótką rotondę albo pelerynę z popielatego, jasno brązowego lub szafirowego sukienka, objęta bywa zwykle ładną taśmą stanowiącą cały jéj garnirunek.

Rękawiczki coraz dłuższe wchodzą w użycie czasami prawie do łokcia sięgają. Moda ta jednak nie przez wszystkie elegantki przyjętą została.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia niebieska z bareżu jedwabnego. U dołu spódnicy szeroka woda, przepinana w odstępach koronką lub pasmanterją. Nad tém trzy falbanki, naszywane w festony. W miejsce stanika, gorsecik Berneński, z epoletami, ogarnirowany stosownie do spódnicy. Chustka z tego samego jak suknia materjału, ogarnirowana wolantem z koronki wełnianéj Yack. Kapelusik ryżowy przybrany aksamitem i długim piórem strusiém.

Figura 2. Suknia fularowa różowa. U dołu wolant ukośny, na który spadają zęby wycięte u brzegu spódnicy. Stanik z baskiną, wyciętą w zęby u dołu. Rękawy obcisłe, z zębami do koła ręki i przez środek. Kaszkiecik Żokiejski, z długiem piórem i pęczkiem kwiatów.



Pani Ludwice Żabo. Gipiura jedwabna szeroka półtory ćwierci kosztuje łokieć złp. 30.

Pani Niewę. Kaftanik marynarski z zagranicznéj syberyny z klapkami i mankietami aksamitnemi dostać można za złp. 133 gr. 10. Z lżejszego korciku wpadające do figury, haftowane na wyłożonych aksamitnych klapkach kolorowym jedwabiem dochodzą do złp. 140.

Pani Joannie Wier. Kaftaniki do pokoju w rozmaitych sprowadzano fasonach; jedne zupełnie wolne, inne wcinane do figury z karoczkiem frakowym lub krótkie dochodzące tylko do stanu.

Panu Mark. w Zasławiu, żądane pisma zaprennmerowaliśmy, pozostaje reszty w Redakcji złp. 8 gr. 10.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Dodatek do Nru 40 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 1 Października 1864 roku.

NA CMENTARZU, NA WULKANIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

— Tak! tak! zawołał pargaminowy, moja istotnie żywo może was zająć, jest bardzo piękną, cudowną jak bajka, dziwaczną i nie będę z niéj nic ukrywał, daję słowo, ręczę iż ją znajdziecie nader ciekawą, osobliwie zakończenie!! o, postaram się o prześliczne rozwiązanie....

Sir Price uśmiechał się uszczęśliwiony, myślał może w téj chwili o iluminacyi Wezuwjusza, gdyż głęboko był zadumany.

— Za pozwoleniem przerwał Spauer, a jeśliby kto z nas miesiąca tego nie dożył?

— Słuszna uwaga, mruknęła mumja ożywiająca się coraz bardziéj, i toby się trafić mogło!

— Ha! rzekł garbus z uśmiechem, duch nieboszczyka powinien się stawić na Wezuwjuszu, wszak ci duchy dostają niekiedy urlop na ziemię, powinien się będzie zmarły postarać o pozwolenie a wędrówka przyjdzie mu łatwiéj jak nam.

Tym żarcikiem dosyć smętnym skończono rozmowę, dzień dobry świtał, gdy się rozchodzić poczęto do mieszkań zamówionych.

Sestini z żoną poszedł pieszo korzystając z poranku do małego domku w okolicy, który zajmowali, a mumja posłała po *veturyum* rozkazując co najprędzéj zaprzęgać.

Stał on właśnie ziewając znowu, gdy piękna hrabina na któréj twarzy znużenie i poranek po nocy bezsennéj, zgubił żywe kolory, przesunęła się mimo niego powoli.

— Więc do widzenia na Wezuwjuszu! zawołał szydersko.

Odwróciła się powoli.

— Choćby w samym kraterze! odpowiedziała mu, nie będzie tam piekielniéj jak było na ziemi.

Mumja uśmiechnęła się szatańsko.

* * *

Dzień był skwarny, ciemno-lazurowe niebo Neapolitańskie wypogodzone, przebiegały tylko białawe puszyste obłoczki, nad Wezuwjuszem unosił się z lekka warkocz dymu, który chwilami ciemniał to znów w niedostrzeżony prawie tuman się rozwiewał. Wulkan drzemał zmęczony i oddychał powolnie.

Nad cudowną zatoką, ukochaną niegdyś przez rzymskich Sybarytów, panowało uroczyste milczenie skwaru tamującego życie, przerywane tylko cichym pluskiem fali jakby biciem pulsu morza, które się spiąc nawet kołysze. Całość tego widoku Neapolu i okolicy, jaśniała cudowną harmonią wesela i rozkwitu, czuć w niéj było istne tchnienie Boże, które te cuda zrodziło; barwy szafirowego morza, lazurowych niebios, szmaragdowéj zieleni drzew, białych budowli, spalonych od słońca ruin, złocistych wybrzeżów, i ametystowych oddaleń, wśród których jak sny i marzenia ukazywały się pobliskie wyspy i zlewały się w jedną pieśń kolorów grających hymn oczom artysty zrozumiały, dla pospolitego tłumu, dziwnie pociągający i wdzięczny.

Najsmutniejszy z ludzi, stanąwszy z bólem w piersi musiał go trochę zapomnieć i poczuć jakieś upojenie naturą, jakiś szał, powoli od zmysłów przechodzący do serca, z piersi idący do głowy. Tu tylko zrozumieć można dla czego odarty Lazaron, leżący na marmurowych wschodach Chiai, czuje się silen i nie dba o jutro, dla czego nuci w łachmanach i śmieje się ze swéj nędzy bez przyszłości. — Barwy, cisze, wonie, powietrze tego czarownego świata, poją Letejską wodą zapomnień i wzgardy na jutro. Życie tak tu jest silne, tak w siebie wierzy, że zagłada nie wydaje mu się ani straszną ani możliwą; przeczuwa ono, że choćby prysły ogniwa łańcucha, znów się gdzieś spoją na nowo.

Pustki były i na wybrzeżu Santa Lucia i wzdłuż zatoki aż ku Resinie, psa prawie widać nie było, upał nieznośny trzymał wszystkich w cieniu winnic, na północnych stronach przyćmionych mieszkań w chłodzie; — cudzoziemcy tylko niezmordowani ciekawcy kręcili się gdzieniegdzie w towarzystwie okupionych drogo i wyrwanych spoczynkowi przewodników.

Zapewne chętka oglądania cudownego widoku jaki się z wierzchołka Wezuwjusza w dnie pogodne odsłania, pędziła ich właśnie w ten dzień skwarny na szczyt wulkanu, który spoczywał po niedawnym wybuchu. Jeden bok jego krwawą jeszcze raną rozpłatany i gorejący nocami, świadczył o świeżéj katastrofie, z któréj teraz tylko na pół zgasłe i zastygłe lawy pozostały potoki. Przewodnicy opowiadali ze zwykłą włochom wielomównością i namiętnością, o ostatnim wybuchu, opóźnionym wędrowcom, którzy niezdążyli pośpieszyć na widowisko.

W Resinie dnia tego do ostatniego konia i najlichszego zabrano osła, najmniéj wprawnych przewodników oderwano od południowéj *siesty*, a stowarzyszenie cieszyło się że nawet kulawe szłapaki potrafiło zużytkować i najmłodszych uczniów wyprawiło na górę.

Żony ich na rachunek przyszłych zysków tego szczęśliwego dnia przysposabiały sutą wieczerzę *maccaroni col fromagio* i śpiewały u kolebek dzieci. Cisza głucha panowała w miasteczku, gdy nagle turkot carricolo spieszącego od Neapolu zbudził uśpionych i spoczywających i do głównéj gospody starszego z przewodników gwałtownie biczyskiem zastukał woźnica, który przywiózł jeszcze jednego opóźnionego wędrowca. Ostatnia kompanja po dobrym kwandransie puściła się na Wezuwjusz, nie podobna już było do niej podróżnego przyłączyć.

Maso, starszyzna rozporządzający wyprawami na górę, stał zakłopotany w bramie, jedną ręką podniósł czerwoną szlafmycę, drugą wyjmował z ust pogryzione cygaro podobniejsze do osmolonego kijka niż do zwitka tytoniowych liści, milczał spoglądając na podróżnego i jak człowiek co się dobrze najadł a któremu jeszcze jedną przynoszą potrawę, dumał czy jéj jakim sposobem na jutro nie można zostawić?

Przybyły był podżyły, żółty, znudzony, kwaśny i niecierpliwy, zżymał się, ruszał ramionami, rozkazywał i przeklinał, w żadne targi nie myśląc się wdawać ze starym przewodnikiem, powiedział od razu że bądź co bądź, za jakąkolwiek cenę, musi dziś jeszcze być na wierzchołku wulkanu. Nie słuchał wymówek, nie rozumiał trudności, rozkazywał.

— *Ecco gospira al Vesuvio*! mruknął pod nosem Maso, *accidente*! Co z nim począć? Ależ *Excelenca*! dodał głośniéj, cóż ja na to poradzę? nie mam już ani konia, ani osła, ani uczciwego człowieka coby pana poprowadził!

— Niemasz? rozśmiał się żółty jegomość, dla czego nie masz, kiedy jesteś dowódzcą przewodników i mieć ich powinieneś? kiedy ci ja płacę! Niemasz nikogo? to idź sam, cóżeś ty lepszego od innych? Pierwszy lepszy koń i pierwszy z brzegu człowiek, a dam sobie rady z obiema, na konia mam biczysko, a na człowieka pięść i pieniądz, będą dobrzy.

— Ależ ostatni przewodnik, powiódł tych dwóch młodych, i to dostał się im najgorszy niedołęga, za najtańsze pieniądze, mruczał Maso, jużcić niepodobna żebym ja Resinę opuścił i łamał nogi dla lichego zarobku, w taki skwar! w taki skwar! *accidente!*

Stary ziewał słuchając a raczéj przeciągał usta znudzony i rękę włożywszy do kieszeni brząkał w niéj luidorami, miły ich dźwięk dodał wreszcie energii przewodnikowi, który zamyślił się głęboko i rzekł stanowczo.

— No mówcież co dacie! co dacie! a będziecie mieli ten honor że was sam przeprowadzę do obserwatorjum, tam dopędziemy pewnie ostatnią kompanię, oddam was jéj i powrócę do domu. Jeszcze jest pora doścignąć ich, bo się muszą zatrzymać dla spoczynku, a cóż mi dacie?

Zaczął się targ, włoch był strasznie wymagający bo leniwy, stary się bronił ale znać było że wkońcu ulegnie.

— Ale, przerwał nagle, dużo ich tam przedemną pojechało na górę?

— O! o! już niewiem wielu, ciągną od południa jakby się zmówili, rachują widać na pogodny zachód słońca, będzie ich tam dosyć!

— Któż? anglicy? spytał żółty wędrowiec.

— O! jedna familia angielska złożona z pani, pana, panny, panicza i guwernantki już od dwóch dni gości w pustelniczym domku na obserwatoryum, ale oprócz niéj kto ich tam zliczy, co pociągnęło różnych ludzi, kilka kobiet, jakiś francuz garbaty, niepamiętam wreszcie.

— Kilka kobiet mówicie! spytał żółty jegomość, jedna osobno? sama? włoch na to pytanie rzucił na cudzoziemca, wejrzenie drwiące z poufałością właściwą swojemu narodowi i rozśmiał się szydersko wpatrując w jego cytrynowe oblicze.

— Cóż tobie do kobiet! rzekł klepiąc po ramieniu oburzonego tą poufałością wędrowca, spojrzyj się jeno w źwierciadło miły panie! stary cofnął się kilka kroków z furją, którą prędko pohamować usiłował, a włoch się powstrzymał z żartami i odparł.

— Ha! ha! rozumiem! pytacie pewnie o tę panią, która jedna z najpierwszych pojechała dziś na Wezuwjusz, nie wiem francuzka czy hiszpanka, piękna jeszcze kobieta, już ją tam pewnie niosą w górę bo poprzedziła innych i najlepszych ma ludzi.

Pargaminowy człowiek dobił targu za dosyć wysoką cenę, a Maso sam podjął się go przeprowadzić, koniec końcem niegrzeczność i gburowatość więcéj tu zrobiła skutków niż najgorętsze wyjednać by mogły prośby, wielki znawca ludzi, stary Maso obrachował z łatwością iż kto jest gburem ten dobrze płacić musi, a bardzo grzeczni najmniéj miewają pieniędzy. Szorstkości swéj winien był hr. Zygmunt Żywski, że mu wynaleziono i wcale dobrego konia i nie zbyt twarde siodło, *buona mancia* umówiona z góry i *buonissima* oprócz tego, zapłacić miały za wszystko.

Hrabia siadł na koń jak człowiek przywykły niegdyś do szparkich rumaków, zażył włoskiego podjezdka tak niecierpliwie, tak po pańsku nogą i biczem, że Maso przestraszony ledwie go mógł dogonić i wyperswadować iż tam gdzie przewodnicy chodzą pieszo za jezdnemi, jezdni stępa też jeździć powinni. Szczęściem kamienista droga, łożysko jakiegoś wiosennego potoku, wybrukowane najdziwniéj nastrzępionemi skał złamkami, gorący ten zapęd powstrzymało. Musiał hrabia zwolnić kroku, bo jak żyw podobnéj drogi nie przebywał konno i podziwiał rumaka, który po ostrych kamieniach stąpał z powagą i śmiałością starego ich znajomego.

Nic nie mówiąc Włoch przypatrywał się człowiekowi, którego wiódł, okiem badawczem, posłuszny jakiemuś instynktowi czytał w nim i wczytując się zaczynał dziwne roić domysły. Twarz ta zeschła, pomarszczona, zimna, trupią, czyniła na nim przykre odstręczające wrażenie, obawiał się *jettahory* z tych oczów złowrogo mierzących z ukosa. W pierwszéj chwili gdy się zatrzymał przed gospodą i gniewał i dąsał, podobniejszy był do

żywych istot, teraz gdy mu powoli twarz wystygała i namiętność z niéj uchodziła, rysy kamieniały, bladość zielonawa oblewała je, i Maso prawie go miał za upiora a nie Boże jakieś stworzenie. Mimo wielkiéj odwagi ciągle trzymał palce tak złożone, aby każde wejrzenie odeprzeć ich talizmanem rogatym.... figą.

Hrabia zamyślił się, po stężałych zmarszczkach jego oblicza, dziko wykrzywionego, niekiedy tylko przelatywało jakby drgnienie gniewu, konwulsyjny błysk namiętności zwierzęcéj pragnącéj nasycenia, ale po téj przelotnéj życia oznace, znowu zamierała twarz, niewyrażając nic oprócz znudzenia i wyżycia.

Stary przewodnik obywszy się ze strachem, napróżno usiłował zwykłą gawędką wesołą rozbudzić zmarzłego człowieka, nic go nie ciekawiło, nic poruszyć nie mogło, na niektóre objaśnienia uśmiechał się szydersko do włocha, a śmiech ten przejmował Masa do kości i mrowiem chodził mu po plecach Widząc że ani go rozbawi ani mu się zasłuży, w końcu włoch cofnął się zapaliwszy cygaro do końskiego ogona, i zostawił *Excellence*, głębokim dumaniom.

— Ale cóż to za stworzenie u licha, mówił sobie neapolitańczyk popędzając konia, któremu cugle na kark upuścił hrabia, nie przypominam sobie żebym go kiedy widział tu na Wezuwjuszu, choć od lat dwudziestu niemal każdego podróżnego twarz oglądam, zdaje się jechać po raz pierwszy, a tak sobie obojętnie siedzi na koniu jakby do góry i widoku przywykły był od wieku, jakby dlań tajemnic i ciekawości nie miała? ani patrzy, ani pyta, ani się czemukolwiek zdziwi? Coś go tam chyba wewnątrz gryzie? Czy ta kobieta o którą się tak dopytywał z niecierpliwością? Czy myśli dostać się tylko na wierzchołek aby dokuczliwe życie zakończyć przez *salto mortale*? Bądź co badź, to jakaś ciekawa figura, a jeśli go Vesuvio nie obchodzi, po cóż się nań drapie i płaci tak drogo.

Hrabia milczał ciągle, wydobyli się z kamieni na szosowaną drogę, którą właśnie kończono, prowadzącą do Obserwatoryum, ztąd już widać było nawet postacie różne kręcące się pomiędzy kasztanami i przybierające do dalszéj podróży. Maso był niespokojny, żeby mu kompanje mogące przyjąć wędrowca i uwolnić go od dalszéj wędrówki nie uciekły, popędzał więc konia żwawo, a oczy hrabiego skierowane ku górze, także się zdawały wyprzedzać rumaka i szukać tam kogoś.

Powietrze było parne, przejażdżka nużąca, Maso oblewał się potem, koń był zgrzany cały, tylko hrabia zdawał się nie czuć skwaru i trząść jeszcze jak od chłodu. O dobre staje od obserwatoryum i domku spoczynku przewodnik zaczął dawać znaki znajomym aby tam na niego poczekali, i zdawało się że go zrozumiano, dosyć znaczna garstka ludzi wstrzymała się, poglądając w tę stronę z któréj nowy podróżny przybywał. Maso radbył bardzo że się pozbędzie swojego ciężaru i utrapionéj *salita*.

W miarę jak się zbliżali do celu téj pierwszéj a łatwiejszéj części wycieczki, Maso ciekawie śledził na twarzy jadącego śladów wrażeń, ale nic nie dostrzegł prócz konwulsyjnych jéj drgań i lekkiego chwilami szyderskiego uśmiechu. Z dala coraz wyraźniéj malowała się grupa z mężczyzn i kobiet złożona, zdająca się oczekiwać na ostatniego przybysza, jasne suknie dam i letnie odzieże mężczyzn na tle ciemnéj zieleni kasztanów bardzo się malowniczo zarysowywały. Na przodzie stał Sir August z lornetą obozową w ręku przypominającą trochę Wellingtona, z miną wodza, i rozjaśnioną twarzą. Był on tu gospodarzem, a gospodarować i przyjmować gości na Wezuwjuszu zdawało mu się wielce oryginalnym i w bardzo dobrym smaku, spodziewał się że *Times*, który był umieścił w korespondencyi z Włoch opis krótki ale kolorowany, wieczoru w Campo-Santo w Pizie, nie omieszka oznajmić swiatu o zdobyciu Wezuwjuszu przez jednego jeszcze Anglika i to w sposób niepospolity. (d.c.n.)



Leroy Imp. r. des Marais, 66. Paris

Anaïs Toudouze

TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Nro 40.